

# 365

ARCHEOLOGIA PAMIĘCI

G n i e z n o

# 2022

tekst i zdjęcia

**K r z y s z t o f**  
**S z y m o n i a k**

**365 ARCHEOLOGIA PAMIĘCI**  
**Gniezno 2022**

© **tekst i zdjęcia – Krzysztof Szymoniak**  
© **Biblioteka Publiczna Miasta Gniezna**

Wszystkie fotografie Gniezna umieszczone w tej książce  
zostały wykonane w latach 2008-2017

*Sądzę, że podstawą humanistyki jest opowieść.  
Nie wystarczy coś zobaczyć, przeżyć lub nawet pojąć.  
Trzeba jeszcze umieć to opowiedzieć.*

Maria Janion  
*Niesamowita Słowiańszczyzna,*  
WL, Kraków 2022, s. 9

*Fotografia trwale dotyka  
rzeczywistości, a ślady naszego  
patrzenia znikają w niepamięci.*

Sławomir Kuszczak  
*Segregator obecności. Codziennosc. Monochrom*  
Wydawnictwo UAP, Poznań 2019, s. 31

**G r u d z i e ń**



# 335 (1 grudnia, czwartek)

**Inflacja, zima, wojna, czyli TERAŹNIEJSZOŚĆ!** Nie da się ukryć – inflacja zjada moją emeryturę, więc bieda znowu zagląda mi w oczy. Przy obecnych cenach żywności, gazu, książek, przyzwoitej odzieży, usług hotelarskich, lekarstw, usług komunalnych, przejazdów koleją kraftowego piwa, usług fryzjerskich, wizyt w prywatnych gabinetach lekarskich i dwudaniowego obiadu w barze mlecznym mogę zapomnieć o wczasach na morzem, zakupie nowych mebli, romantycznych kolacjach w dobrym lokalu z dawno niewidzianą koleżanką. Odchodząc w roku 2018 na emeryturę czułem się zabezpieczony finansowo na przyzwoitym, średnim poziomie, dzisiaj czuję się zagrożony ubóstwem, więc zaczynam rozglądać się za jakąś pracą na pół etatu – stróża nocnego, roznosiciela ulotek lub magazyniera w firmie sprzątającej. Nie wiem, co przyniesie mi rok następny, ale z całą pewnością będzie to powrót do pracy zarobkowej – oczywiście dla chleba, bo przecież nie dla przyjemności.

Nie da się ukryć – zima zapowiada się niewesoła. Z powodu drożyzny nie pojedę na żaden jarmark bożonarodzeniowy do Pragi, Lipska czy Berlina, nie mówiąc o Monachium, Wiedniu czy Oslo. Jeżeli nadejdą zapowiadane mrozy ze wschodu, moje zimowe rachunki za gaz (ogrzewanie domu) mogą wynieść połowę mojej emerytury, a to oznacza finansową katastrofę. Widoki na poprawę sytuacji marne, kilkunastodniowy wypad w góry (zimowy trekking) poza moim zasięgiem, pozostaje więc „zima pod gruszą”, czyli ciepłe skarpety, kaloryfer, gnieźnieński grzaniec, gruba kołdra i widok z okna na ciągle te same drzewa w ciągle tym samym ogrodzie. Jednym słowem – niskie loty leśnego dziadka.

Nie da się ukryć – Rosja nie zamierza kończyć swojej bandyckiej wojny w Ukrainie, Białoruś też chętnie się w to włącza (oczywiście po stronie Morodoru), bo przecież nic tak nie cieszy bandytów jak państwowy terroryzm i straszenie totalną zagładą. Póki co, na celowniku Rosji poza Ukrainą jest bliska zagranica, czyli Mołdawia, Polska i kraje bałtyckie. Największym marzeniem Putina jest rozpieprzenie Unii Europejskiej, w czym chętnie mu pomagają mali dyktatorzy, spychając swoje kraje na margines cywilizowanego świata.

(2 grudnia) **336**



# 337 (3 grudnia, sobota)

**Niespodziewany powrót Stanisława Lema.** Znowu ważna dla mnie rocznica – dokładnie rok temu udałem się na godzinę 17 do Starego Ratusza (tymczasowa siedziba MOK), gdzie staraniem Biblioteki Publicznej Miasta Gniezna zaplanowano i przeprowadzono spotkanie autorskie z prof. Agnieszką Gajewską, literaturoznawczynią z UAM, badaczką twórczości Stanisława Lema, autorką biografii pisarza, którą zatytułowała „Stanisław Lem. Wypędzony z Wysokiego Zamku”. Kilka lat wcześniej, w roku 2017, w wydawnictwie naukowym UAM ukazała się jej książka „Zagłada i gwiazdy. Przeszłość w prozie Stanisława Lema”, w której Autorka nowatorsko zinterpretowała związki wojennej biografii pisarza z jego twórczością. Poszedłem na to spotkanie z egzemplarzem (nabytym drogą kupna) nowej biografii Lema, a wróciłem do swojej chatki wzruszony, intelektualnie zbudowany oraz po ludzku zachwycony osobą i osobowością Agnieszki Gajewskiej. Dlaczego o tym wspominam? Twórczość literacka oraz myśl filozoficzna Lema towarzyszyła mi w Gnieźnie od pierwszych dni pobytu w domu przy ulicy Grzybowo, czyli od wiosny 1969 roku. Najpierw fascynował mnie świat przedstawiony przez Autora w jego tekstach fabularnych – opowiadaniach i powieściach, potem zacząłem dorastać i dojrzywać do Lema naukoznawcy i filozofa (postrzegałem go jako Mędrca, na którego prześmyśleniach fundowałem niektóre własne obszary samoświadomości i autorefleksji), aby ostatecznie zagłębić się w meandry jego biografii (wywiady-rzeki i inne rozmowy z pisarzem), gdzie tylko częściowo odsłaniało się przedwojenne, wojenne i powojenne życie Mistrza. Biografia autorstwa prof. Agnieszki Gajewskiej (po wcześniejszej, z 2017 roku, biografii autorstwa W. Orlińskiego „Lem. Życie nie z tej ziemi”) ostatecznie otwarła mi oczy na wiele spraw związanych z życiem i twórczością Lema, które wcześniej bywały zaledwie przebłyskami zrozumienia oraz na poły amatorską intuicją domowego, kuchennego lemologa. Teraz, po lekturze tej właśnie biografii zrozumiałem, że powinienem raz jeszcze przeczytać całego Lema, ale tym razem z jakim takim zrozumieniem. PS – wieczorem, po powrocie do domu ze spotkania autorskiego, natychmiast otwarłem komputer i odnalazłem w sieci, dostępną w całości bezpłatnie, książkę „Zagłada i gwiazdy” A. Gajewskiej i od razu zacząłem ją czytać. Zainteresowanym podaję adres strony: [https://www.academia.edu/33382543/ZAG%C5%81ADA\\_I\\_GWIAZDY](https://www.academia.edu/33382543/ZAG%C5%81ADA_I_GWIAZDY)



(4 grudnia) **338**



# 339 (5 grudnia, poniedziałek)

**Co by było, gdyby...** Przypadek, który mógł stać się początkiem rodzinnej katastrofy? A może igraszki z diabłem? Te pytania cisną się pod pióro, gdy dzisiaj – 5 grudnia 2022 – wspominam swoje pierwsze dni w Gnieźnie, na początku marca 1969 roku. A było to tak... Oto marcowy zimny poranek. Parter domu przy ulicy Grzybowo 3, w którym ojciec rozpoczyna remont, zajmują dwie rodziny: Władysław Szymoniak z prawie 16-letnim synem, i stary właściciel, który dopiero ma się wyprowadzić. On zajmuje połowę od podwórza, my od ulicy. Tylko kibelek na korytarzu (jak to w starych kamienicach) jest wspólny. Ojciec wychodzi do pracy, a ja pilnuję gospodarstwa w remoncie. Jestem w Gnieźnie dopiero trzeci dzień, więc nie ruszam się z mieszkania na pokryte lodem i śniegiem ulice. Ponieważ jest zimno, elektryczną maszynką grzeję wodę na herbatę. Zjadam to, co zostało od wczoraj i zaczynam krzątać się po dwóch zagraco-nych pokojach. W tym 25-metrowym nasz majątek – dwa łóżka, jakiś stół i dwa krzesła. Jest też wysoki piec kaflowy z własnym paleniskiem, jakimi wtedy ogrzewano mieszkania. Obok pieca leży kupka drewna i stoi wiadro węgla. Ponieważ zapomniałem spytać ojca, czy mogę napalić w piecu (nauczyłem się tego jeszcze w Kępnie), postanowiłem zrobić mu niespodziankę i trochę ogrzać tę naszą wspólną lodownię. Zabieram się do sprawy metodycznie: otwieram dolne i górne żeliwne drzwiczki, czyszczę popielnik, potem na puste (jak mi się zdaje) palenisko, czyli na żeliwny ruszt, kładę kawałek zmiętej gazety i kilka cienkich kawałków drewna. Ponieważ jednak kawałki te są dosyć długie, nie mieszczą się w palenisku i wystają poza ruszt. Wyjmuję więc wszystko na podłogę i zaglądam do ciemnego paleniska. W głębi dostrzegam jakąś papierową zawalidrogę, jakiś przedmiot owinięty w gazetę. Wyjmuję go i rozwijam. Wewnątrz zawiniątka znajduję papierową torbę, a w niej (po przeliczeniu)... 120 tysięcy złotych w dużych nominałach. Najpierw pomyślałem, że trafiłem na skarb, o którym ojciec nic nie wie, ale po chwilowym namyśle i poskładaniu wszystkiego w logiczną całość dotarło do mnie, że to są pieniądze, które ojciec dostał za dom sprzedany w Kępnie, którymi teraz musi sfinansować kupno tego w Gnieźnie oraz jego remont. Miałem więc w rękach los i przyszłość całej naszej rodziny. Zapakowałem pieniądze tak, jak je znalazłem i schowałem w palenisku pieca kaflowego. Palenisko dokładnie zamknąłem, drzwiczki zakręciłem. Ręce mi drżały. C.d.n.

(6 grudnia) **340**



# 341 (7 grudnia, środa)

**Co by było, gdyby? Dokończenie.** Ojciec nigdy się o tym nie dowiedział. Ja natomiast od tego momentu (do notarialnego sfinalizowania zakupu domu) nie tylko pilnie strzegłem pieca, ale także – przy każdym wyjściu do miasta – dokładnie zamykałem na wszystkie zamki drzwi wejściowe zajmowanej przez nas połowy mieszkania. Dzisiaj, z perspektywy 53 lat patrzę na tamtego siebie, na 16-latkę, któremu nagle wpadła w ręce fortuna, i co widzę? Wystarczyłoby, abym uwierzył w ów „skarb” ukryty w piecu przez poprzednich właścicieli mieszkania, abym zaczął z niego czerpać pełnymi garściami, aby zbliżyć się do nieszczęścia i katastrofy. Wystarczyło jednak, aby połupane już drewno na rozpałkę, leżące obok pieca, było trochę krótsze, na tyle krótsze, by zmieściło się w palenisku i pozwoliło na przymknięcie żeliwnych drzwiczek. Wtedy od jednej zapalki zająłby się zmięty kawałek gazety, od gazety ogień przeszedłby na drewnianka, a potem na większe kawałki drewna, aby ostatecznie objąć płomieniem ukryty w palenisku pakunek, o którym przecież nie miałem pojęcia, że istnieje. Po pewnym czasie na rozpalone drewno narzuciłbym węgla, który daje taką temperaturę płomienia, że nic już nie byłoby w stanie zatrzymać katastrofy, czyli ocalić od zagłady puszczonego przez komin dobroku całego wspólnego życia i pełnego wyrzeczeń powojennego biedowania moich rodziców. Ja, dumny z siebie, że tak pięknie napaliłem w piecu, że ogrzałem pokój, cieszyłbym się na powrót ojca z pracy. Ale potem – gdyby tak się stało, że ojciec wrócił do domu i zdziwił się, że w pokoju jest ciepło, i natychmiast zadał mi jednym spojrzeniem proste pytanie o drewno, którego już nie ma przy piecu i o puste wiadro, w którym nie ma już węgla – potem dowiedziałbym się, że dom w Kępnie nie jest już nasz, a ten w Gnieźnie jeszcze nasz nie jest, więc skoro napaliłem w piecu, to znaczy, że nie mamy gdzie mieszkać i nie mamy już pieniędzy, aby odwrócić od rodziny widmo totalnej klęski. Najpierw nie wiedziałbym, o co ojcu chodzi. Najpierw patrzyłbym, zdziwiony, na ojca zmieniającego się w słup soli, a po kilku godzinach, gdyby potrafił spokojnie wyjaśnić mi, co się stało, mógłbym jakoś to przeżyć (nie popadając w depresję), ale zupełnie nie wiem, jak mogłoby wtedy wyglądać dalsze moje trwanie na tym łez padole, trwanie kogoś, kto ma na szyi pętlę rozpacz, bo doświadczył na sobie mocy fatum, greckiej bogini przeznaczenia, której na imię Ananke.

(8 grudnia) **342**



# 343 (9 grudnia, piątek)

**Mur, czyli to także jest moje miasto...** Kiedy mieszkałem jeszcze z rodzicami na parterze domu przy ul. Grzybowo (zasypiając i budząc się w dużym pokoju od ulicy), na parapetach nisko posadowionych okien siadali wieczorami pijacy wracający z „Robotniczej” do swoich żon i nieustannie przeklinając pili tam wódkę, pukali w szyby, hałasowali. Nie było na nich sposobu. Wiedzieli, że są przewodnią siłą narodu, klasą robotniczą, która ma prawo panoszyć się w bezkarności. Kiedy w tym samym domu zamieszkałem na poddaszu z żoną i córką (a potem już sam), za ścianą, po drugiej stronie tego poddasza należącego do drugiego współwłaściciela, mieszkali zebrzący Rumunii, sezonowi robotnicy, tłukący swoje kobiety typy spod ciemnej gwiazdy, a nawet wiecznie pijane kurtyzany na gościnnych występach i ciężko pracujące bułgarskie prostytutki. Wszyscy oni przynosili z sobą brud, hałas, wrzaski, ciągły niepokój, a nawet prostackie domowe robactwo. Kiedy w latach 90. dojeżdżałem codziennie do pracy w Poznaniu, poczekalnia naszego dworca PKP przypominała, zwłaszcza zimą, barwną, śmierdzącą denaturatem pijacką melinę. Bezdomni oraz różni gnieźnińscy menele, płci obójga, bratali się tam z ziómkami, którzy właśnie opuścili ZK w Gębarzewie, a wszyscy razem świetnie się bawili kosztem trzeźwych i umytych obywateli, oczekujących na swoje pociągi i autobusy PKS. Od kiedy całą rodziną (z parteru i poddasza) przenieśliśmy się w r. 1999 na ulicę Wiosny Ludów, w pobliże Lasu Miejskiego, nieustannie trafiam w obrębie tego „lasu” na dzikie wysypiska. Owe śmieci dostarczają tam właściciele pojazdów (osobowych i bagażowych), kulturalni mieszkańcy pobliskich domów jednorodzinnych, którzy w niedzielę chodzą do pobliskiego kościoła, a w weekendy piją w lepszym towarzystwie lepsze gatunki whisky. Kiedy teraz kilka razy w tygodniu pojawiając się w centrum Gniezna, na dobrze znanych mi głównych ulicach, nieustannie muszę uważać, aby nie wdepnąć w psie gówna, aby nie zostać rozjechanym przez szalejących na rowerach małolatów, aby nie stracić reszty złudzeń w kontaktach z cywilizacją portali społecznościowych. Od 53 lat otacza mnie w tym mieście mur szarej rzeczywistości, na którą nie ma sposobu. Bo to ona, Szara Rzeczywistość, jest panią tego świata, odzianą w markowe ciuchy, patrzącą na mnie z rozbawieniem i pogardą z za szyb drogich samochodów. Oczywiście nie jestem w stanie z nią walczyć o lepsze jutro. Mogę tylko zejść jej z drogi.

(10 grudnia) **344**



# 345 (11 grudnia, niedziela)

**Co Gniezno ma wspólnego z Koszalinem?** W dniach 16 i 17 listopada odbyłem (na zaproszenie prof. Elżbiety Juszczyk) gościnne zajęcia ze studentami dziennikarstwa, którzy uczą się na Wydziale Humanistycznym Politechniki Koszalińskiej. Ów gościnny wykład i konwersatorium odbyłem w obecności kilkorga pracowników naukowo-dydaktycznych tegoż Wydziału, akcentując (głównie na przykładzie własnych doświadczeń, ale nie tylko) wymiar prawny, etyczny oraz misję uczciwego, rzetelnego dziennikarstwa i fotografii prasowej. Po zajęciach udałem się na zwiedzanie miasta. To wtedy, rozmawiając o historii Koszalina z moją przewodniczką, dowiedziałem się, że powojenny Koszalin, jako polską strukturę administracyjną i komunalną, stworzyli gnieźnianie. Oto początkowe fragmenty (s. 17-19) drugiego tomu monografii „Dzieje Koszalina” z roku 2016. Cytuję: *Po krótkich walkach wojsk Armii Czerwonej z niemieckimi i zdobyciu przez Sowieców miasta, nastął w Koszalinie czas wojskowego zarządu. Polacy przybywający tutaj pod koniec wojny nie byli zbyt liczni i dlatego nie można było powołać organów przedstawicielskich w ramach określonych instytucji. W tej sytuacji tworzenie administracji miejskiej dokonane zostało, podobnie jak w innych miastach, przy pomocy ekip przybyłych z ziem Polski Centralnej. (...) Do Koszalina, niezależnie od różnych osób napływających tutaj z całej Polski, jedynie z Gniezna przybyły zorganizowane grupy. Miasto to objęło patronat nad Koszalinem i okolicami, kierując do niego swoich działaczy partyjnych i społecznych, oraz udzieliło mu pomocy gospodarczej. Pierwsza zorganizowana grupa z Gniezna, w składzie kilkunastu osób, przybyła do Koszalina w dniu 10 maja 1945 roku. Była to czołówka, za którą miały przyjść następne zwarte grupy osadników. W jej składzie byli działacze partyjni, organizatorzy administracji powiatowej i miejskiej, działacze gospodarczy i społeczni. Znajdował się w niej Edmund Dobrzycki, członek PPR, który przejął funkcję pełnomocnika rządu na obwód Koszalin, był Dominik Kończak, zastępca pełnomocnika rządu, Stanisław Jakubowski – pierwszy burmistrz Koszalina, Leon Majerowicz – zastępca burmistrza, Roman Sobczak – pełnomocnik do spraw przemysłu, Edward Pikutowski – pełnomocnik do spraw oświaty, Irena Kiedrowska – pełnomocnik działu farmacji, Tadeusz Dajewski – zastępca pełnomocnika do spraw aprowizacji, Jan Pilarski – zastępca pełnomocnika do spraw przemysłu. C.d.n.*



(12 grudnia) **346**



# 347 (13 grudnia, wtorek)

**Co Gniezno ma wspólnego z Koszalinem? – zakończenie.** *Wkrótce transportem kolejowym przybyła z Gniezna pierwsza większa grupa osadników, licząca około pięciuset osób. Jego uczestnicy zorganizowali manifestację w Koszalinie. Przeszli ulicami miasta w zwartym pochodzie, z transparentami i polskimi flagami, od zniszczonej stacji kolejowej do punktu etapowego PUR, mieszczącego się w szkole podstawowej przy ulicy Bolesława Krzywoustego. Jak wspominają uczestnicy tego pochodu, przemarsz polskich pionierów podzielał szokująco na ludność niemiecką, która zdała sobie sprawę, że odtąd Koszalin należeć będzie do Polski. Teoretycznie osadnicy mogli zająć każdy dom wraz z majątkiem, niezasiedlony dotąd przez Polaków; wieszali potem na nim biało-czerwoną flagę oraz kartkę ze swoim imieniem i nazwiskiem oraz napisem: „zajante przez Gniźnianina”. W praktyce jednak często rządziło prawo silniejszego. Najlepiej zachowane i wyposażone wille z reguły rezerwowano dla ludzi nowej władzy i ich protegowanych. Zdarzało się, że uzbrojone szajki wyrzucały osiadłe już rodziny z domów. Kradzieże i rabunki były największą plagą w pierwszych latach po wojnie. Proceder ten uprawiali przeważnie szabrownicy z centralnej Polski oraz żołnierze i oficerowie sowieccy, którzy w zorganizowanych grupach i samodzielnie plądrowali poniemieckie mieszkania i majątki.*

Działo się to w roku 1945 i 1946. Moi rodzice dopiero się poznali. Gdzie? W Hanowerze, w obozie dla wyzwolonych niewolników (robotników przymusowych) III Rzeszy. Ona była z Kępna, On z Gniezna, a ja do października 1952 r. nie istniałem w żadnych planach i projektach. Teraz moi rodzice po długim i pracowitym życiu spoczywają na gnieźnieńskim cmentarzu, a ja – tak się zdarzało – bywałem i nadal bywam nieformalnym, przypadkowym, a nawet spontanicznym ambasadorem Gniezna. Przez lata różne to były miejsca i z różnych powodów (Wrocław, Split, Sarajewo, Neapol, Praga, Berlin, Frankfurt nad Odrą, Słubice, Mombasa, Szczecin, Sopot, Gdynia, Cieszyn, Zaolzie, Ostrawa, Bielsk Podlaski, Bielsko-Biała, Zwardoń, Węgierska Górka, Konin, Ostrów Wlkp., Gorzów, Wiedeń, Bydgoszcz, Toruń, a ostatnio właśnie Koszalin i Mielno), ale zawsze starałem się, aby zostawiane tu i tam moje ślady (dziennikarskie, literackie i zwyczajne, ludzkie) dobrze świadczyły o Moim Mieście i mojej skromnej osobie.

(14 grudnia) 348



# 349 (15 grudnia, czwartek)

**Cztery strony świata...** Na okładce książki Aleksandra Gieysztor „Mitologia Słowian” (wydanie 3, Warszawa 2020) znajduje się wizerunek Światowida ze wsi Liczkowiec nad Zbruczem (obecnie Muzeum Archeologiczne w Krakowie), który podsunął mi myśl, że takim gnieźnieńskim Światowidem mógłby być swoisty, może nawet literacki, portret miasta o czterech twarzach. Byłyby to cztery główne strony naszego, lokalnego świata: strona kultury, sportu, sztuki i edukacji; strona gospodarki, handlu, biznesu i przemysłu; strona życia parafialnego i praktyk religijnych; strona polityki i samorządu. Pierwsze trzy twarze znam dosyć dobrze, bo albo obserwowałem je z bliska, albo ich treść była częścią mojego życia, choć nigdy nie ciągnęło mnie, by zostać ministrantem, piłkarzem z ul. Strumykowej lub właścicielem sklepu. Ostatnią – polityka i samorząd – znam tylko z oglądu, z obserwacji, ze słyszenia, ze skandali, sensacji, plotek, sukcesów oraz debat omawianych przez lokalne media. Dlatego teraz zastanawiam się, jakie miasto zobaczyłbym, gdybym pewnego dnia postanowił zostać radnym miejskim lub powiatowym, a może nawet lokalnym politykiem i członkiem któregoś z ugrupowań? Ciekawi mnie, w jakim mieście obudziłbym się, gdybym postanowił wystartować w wyborach na prezydenta Gniezna lub gdyby zamarzył mi się fotel starosty? Nurtuje mnie pytanie, czego dowiedziałbym się o swoim mieście, gdybym jakimś trafem został gnieźnieńskim posłem lub senatorem? Czego dowiedziałbym się o ludziach z mojego miasta, czyli o wyborcach, zwłaszcza tych, którzy nie chodzą na wybory, także o lokalnych politykach, gdyby przyszło mi pokazywać się z nimi kilka razy w roku w garniturze i z wiązaną kwiatów przed pomnikiem B. Chrobrego, albo na partyjnych, państwowych, kościelnych i miejskich oficjałkach? Zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie wśród ludzi władzy, wśród ludzi żądnych władzy, wśród postaci życia politycznego i samorządowego, które szanuję i cenię, ale i wśród tych, którzy – jak za komuny – są mierni, bierni, ale wierni, którzy mają usta pełne frazesów, typu Bóg, Honor, Ojczyzna, a prywatnie są małymi, żalonymi nieudacznikami (niekiedy w oparach alkoholu) z wielkim ego i żadnym dorobkiem? To jest ta strona świata, to jest ta twarz Światowida, za kulisami której dzieją się, jak sądzę, rzeczy i sprawy nie na moje zdrowie. Już bowiem 160 lat temu Bismarck powiedział: *Ludzie nie powinni wiedzieć, jak robi się kielbasę i politykę.*

(16 grudnia) **350**



# 351 (17 grudnia, sobota)

**Gniezno miastem poetów?** Kiedy zaczynałem swoją przygodę z Gnieznem, miałem 16 lat i żadnych wielkich planów na przyszłość. Dokładnie dziesięć lat później byłem już zaprzyjaźniony z Krzysztofem Kuczkowskim, który jako pierwszy rzucił myśl założenia Gnieźnińskiej Grupy Poetyckiej DRZEWO. Wierzyliśmy wtedy, że poezja jest drogą, która poprowadzi nas przez życie. I tak się też stało, choć na tej drodze nie zawsze poezja wychodziła zwycięsko z zapasów, jakie wyznawane przez nas idee i wartości musiały toczyć z niekiedy brutalnie wulgarną szarą rzeczywistością PRL-u. To wtedy, w roku 1979, K. Kuczkowski napisał wiersz, którego treść towarzyszyła mi na ścieżkach losu przez następne 40 lat. Oto on: *w Gnieźnie jest niewielu / poetów, jeden na Grzybowie, / drugi na Osiedlu, trzeci / wyszedł z domu i... // tu, nocą, powstają poematy, / z ulicy na ulicę niesie się głos / dawno, dawno zapomnianej Pieśni / - gdy próbujemy ją usłyszeć // zapada wieczór. / w Gnieźnie jest niewielu poetów / i tyle do napisania (...)*. Dzisiaj w Gnieźnie jest wielu/wiele, pięknie się różniących, poetów/poetek. A przynajmniej pamięta się wielu z nich. Jedni już nie żyją (T. Rzepa, A. Piskurz, D. Zybalanka-Jaśko, J. Mikołajewicz, S. Kuczkowski), inni wyjechali lub zmierzają ku spełnieniu i starości, a młodszy od nas, już dojrzały w rzemiośle i dykcji poetyckiej, oraz ci, którzy dopiero wkraczają na scenę, chodzą niekiedy po naszych śladach, wydeptują własne ścieżki obok naszych, zasypanych piaskiem z pól, kłębkiem suchej trawy gnanej wiatrem i szeleszczącą peleryną liści. Cóż pozostaje? Pozostaje opowieść. Cała ta książka jest opowieścią, w której trochę miejsca zajęła moja przygoda z poezją. A teraz pałeczkę przejmuje poeta Maciej Krzyżan. Oto jego nowy wiersz: *rano coraz częstszy dylemat / stawiać najpierw prawą / czy może lepiej lewą stopę / z postojem w przysiadzie / czy od razu w wyprost / kilkunastominutowy rozruch / powoli / stopniowo / wychodzenie do ludzi // a potem cierpnie kark / bolą plecy / i te tabletki połknięte / niepołknięte wstydlive / kłopoty z pamięcią // no i cóż panie kolego / niegdysiejszy supermanie / pogromco serc niewieścich / jest nadzwyczaj banalnie / latka lewą / nic wielkiego / się nie wydarza...* Byłem na dwóch kolejnych slamach poetyckich organizowanych przez P. Bąkowskiego i tam otwarły się przede mną światy literackie utalentowanej młodzieży. Czy Gniezno jest zatem miastem poetów? Nie mnie to oceniać. Wiem tylko, że nie jest poetycką pustynią.

(18 grudnia) **352**



# 353 (19 grudnia, poniedziałek)

**Można założyć, że dzisiaj prawie każde miasto średniej wielkości ma swoich mistrzów...** a także przysłowiowych wioskowych głupków, osoby znane z tego, że są znane i słynne osobowości, ludzi porządnych i zwyczajnych bandziorów, szczęśliwe żony i matki oraz smutne stare panny, raperów i chóry kościelne, lokalnych mężów stanu i politycznych ciemniaków, śliczne dziewczyny i anarchistów, ćpunów i niewolników gorzały, neofaszystów i postkomuchów, businesswoman i „patriotów” o zimnych sercach, damskich bokserów i hipokrytów bredzących o cnotach niewieścich, mądrą profesorkę i eleganckiego geja, czarnoskórego medyka i Azjatów w gastronomii, ale także hochsztaplerów i mitomanów. I co z tego? – zapytacie. Ano nic... Ci ostatni niech więc żyją długo i szczęśliwie. Na zdrowie! W końcu nie takie dziwadła widział nasz piękny świat. Pół biedy, gdy owe dziwadła są tylko zabawne, problem zaczyna się wtedy, gdy dla sławy, dla lansu i społecznego uznania, nie cofną się przed kłamstwem, manipulacją, plotką, oszczerstwem, a nawet przed rozpaleniem „kaganka” idiotyzmu i absurdu – niczym powiatowi, samozwańczy mistrzowie świata w masce Nerona.

Cóż jeszcze... Dawno temu mieszkałem w Kępnie, a będąc dzieckiem wiedziałem już, że istnieje miejscowość Gniezno i że jest to rodzinne miasto mojego ojca. Pierwszy raz zobaczyłem Gniezno na własne oczy w połowie lat 60., kiedy przyjechałem tu z Kępna na Pierwszą Komunię mojego kuzyna Marka S. Pamiętam, że z tej okazji kępiński krawiec uszył mi piękny niebieski garnitur. Nie myślałem wtedy, że kiedyś opuszczę to małe miasto. Wszystko jednak rozegrało się nagle w roku 1968 i 1969. Ojciec wrócił do siebie, do Gniezna, a my (jego rodzina) wraz z nim. I szybko wrosliśmy w to miasto. Tylko matka, kępnianka z urodzenia, nigdy nie przyzwyczała się do nowego miejsca, choć spędziła w nim 44 lata swojego długiego życia. Kończąc opowieść o własnych latach spędzonych w Gnieźnie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, a właściwie napisać: to był dobry, ciekawy czas. Muszę jednak dodać: są w tej przeszłości sprawy i uczynki, których się wstydzę, których już nie odkręcę, które mogę zapisać na konto swojej głupoty, ale i ciemnej strony własnej duszy. Fakt – nikt nie jest doskonały.



(20 grudnia) **354**



# 355 (21 grudnia, środa)

**Najdłuższa noc w roku...** Na wielu różnych stronach w Sieci można przeczytać, że najdłuższa noc w roku zawsze jest związana z początkiem astronomicznej zimy i wypada 21 lub 22 grudnia. W tym roku, tak jak i w poprzednim, nastąpi ona 21 grudnia, czyli zacznie się dzisiaj, po podwieczorku, jeżeli ktoś takowe kultuwuje. Dopiero w 2023 r. najdłuższą noc i najkrótszy dzień będzie można zaobserwować 22 grudnia. Różnice między długością dnia i nocy w ciągu roku, jak się okazuje, są duże. Podczas letniego przesilenia noc trwa niecałe 8 godzin, natomiast w przypadku przesilenia zimowego ciemno jest przez około 16 godzin. W przypadku naszego kraju różnica czasu liczonego od wschodu do zachodu słońca wynosi niecałą godzinę. Najszybciej zmierzch zapadnie na północy, najdłużej ze słońca skorzystają natomiast osoby przebywające w południowej części kraju. Uśredniając te wyniki, można powiedzieć, że najdłuższa noc w roku 2022 w Polsce rozpocznie się zachodem słońca ok. g. 15.25, natomiast zakończy wschodem ok. g. 7.40. Nie da się ukryć, że w naszym kręgu kulturowym, gdzie rok obrzędowy wiąże się ściśle z katolicyzmem, ta najdłuższa noc w roku przypada dwa dni przed wigilią świąt Bożego Narodzenia i dla wielu ma ścisły związek z tym, co nazywamy Adwentem. W Kościołach chrześcijańskich jest to okres przypominający oczekiwanie na powtórne przyjście Jezusa Chrystusa. Jednocześnie jest to czas poprzedzający pamiątkę pierwszego przyjścia – wcielenia, znanego pod nazwą narodzin Chrystusa. Początek tego Adwentu przypada pomiędzy 27 listopada a 3 grudnia. Mam za sobą 68 takich nocy najdłuższych, a ile przed sobą – nikt tego nie wie. Na pewno niezbyt wiele. Próbuję przypomnieć sobie, jak wyglądały te noce najdłuższe spędzone przeze mnie tu i tam. Niektóre pamiętam, bo czas przedświąteczny jakoś bardziej utrwała się w mózgowych powidokach. Najlepiej pamiętam te okropne, te beznadziejne, ale i te – bywało – pijane, te – bywało – z kobietą, te – bywało – w wojsku i w więzieniu. A te gnieźnińskie? Tak, bywało, że szwendałem się w te noce po pustym mieście, szukając miłości, trzeźwiejąc w oparach poetyckiego absurdu, zadając trudne pytania odchodzącej, udręczonej młodości. A wszystko to w pięknych dekoracjach – zamknięte na głucho kościoły, bezлюдne, zmarznięte ulice, ciemne okna domów i bramy kamienic, do których nie było klucza. W jednym tylko miejscu miałem kawałek własnej podłogi i deski poddasza nad głową – ul. Grzybowo 3/6. →

(22 grudnia) **356**



# 357 (23 grudnia, piątek)

**Najdłuższa noc w roku... c.d.** W jedną z takich nocy, w roku 1997 lub 1998 – gdy zjechałem do Gniezna (z Konina., gdzie wtedy przebywałem na dwuletniej delegacji) na tydzień zimowego urlopu – siedząc samotnie na swoim poddaszu i rozmyślając o zbliżających się świętach, napisałem taką oto kolędę:

Mam stół, ale bez serwety białej,  
Mam rybę, ale bez ogona,  
Kiedyś chyba inne zimy miałem  
I miłość lepszą, taką... jak to ona...  
Dzisiaj w butach leżę na tapczanie,  
Dziś moje noce robak snów pożera.  
Za oknem smród – samochodów czkanie,  
A w szparach świata żebracza opera.

*Kolęda, kolęda po ziemi się niesie,  
A ja na swych metrach jak ci wilcy w lesie.  
Zawyję se czasem, z kąta w kąt spozieram  
I smutno mi, Boże, jak jasna cholera.*

Na moim stole kurz i wspomnienia,  
Nad moim stołem tylko cień jemioly,  
Szczyćście gości u mnie od niechcenia,  
Jestem więc święty, nie jestem wesoly.

Myślę: żal mi dobrych spraw i zdarzeń,  
Które odeszły z częścią mego trwania.  
Może jutro los i to wymaże,  
Co dziś z wysiłkiem układa się w zdania.

*Kolęda, kolęda po ziemi się niesie...*

Cisza tu taka, że aż serce boli,  
Za kilka godzin gwiazda z nieba spadnie.  
Idę choć leżę, w mig choć powoli,  
By blednąć głupio chociaż skwierczeć ładnie.  
Na moim stole nie pachnie siano,  
Do mego pieca nikt nie przyłgnie mrozem.  
Teraz jest noc, słów nie spisano,  
Rodzi się człowiek, siebie mu zawiozę.

*Kolęda, kolęda po ziemi się niesie...*

Dwadzieścia lat później jeden z moich studentów skomponował do tej kolędy muzykę i umieścił ją w Sieci: <https://www.youtube.com/watch?v=mxmzTMEiZRk>

(24 grudnia) **358**



# 359 (25 grudnia, niedziela)

**Kilka zdań o człowieku, który nigdy nie zabiegał o zaszczyty, a przecież już dawno powinien zostać dostrzeżony.** Są gnieźnianie, którzy uchodzą (czy może raczej chcą uchodzić) za wybitnych przedstawicieli miejscowej kultury, choć – poza lanssem i gadaniem na swój temat – nie mają żadnych poważnych osiągnięć ani dowodów swojej wybitności. Są też i tacy gnieźnianie, o których milczą lokalne media, gremia opiniotwórcze i kapituły różnych miejscowych nagród, choć owi „nieznani mistrzowie” mają dokonania ogólnopolskie i bywają w dziedzinie własnych zainteresowań wybitnymi specjalistami. Oto jeden z takich przykładów, do którego biogram zredagował Maciej Krzyżan. Cytuję zatem: **Marek Jakubowski** – rocznik 1953, gnieźnianin, filozof, człowiek o niezwykłym poczuciu humoru, wspaniały interlokutor i gawędziarz, meloman-erudyta, jeden z najwybitniejszych w Polsce znawców i propagatorów bluesa, członek Rady Artystycznej Festiwalu „Rawa Blues” w Katowicach oraz prowadzący wielu festiwali bluesowych. Autor „Małego leksykonu bluesa” (Toruń-Warszawa 1992), pionierskiej, pierwszej w Polsce publikacji książkowej poświęconej temu gatunkowi muzyki popularnej. Kolejne pozycje w jego dorobku to przede wszystkim „Encyklopedia muzyki popularnej – Blues” (Poznań 2008), a także - wyrastające z imponującej ogromem wiedzy o genealogii bluesa i jego rozwoju - „Szkice z kultury bluesa” (Białystok 2010) oraz „Kultura popularna i blues” (Białystok 2014). Jest też autorem licznych recenzji wydawnictw płytowych publikowanych między innymi na łamach „Jazz Forum”, „Jazzi Magazine”, czy „Twojego Bluesa”.

I co? To są mało znaczące osiągnięcia? Użyłem celowo słowa ‘osiągnięcia’, bo przecież nie o sukces tu chodzi. W erze internetowej pop-kultury za sukces uchodzi klikalność i oglądalność na YT – wystarczy bredzić o kosmitach, propagować cud-diety, ugotować grochówkę czy pokazywać się (to głównie w przypadku nastolatków) prawie nago z kotem lub złotą rybką. Tak więc osiągnięcia Marka Jakubowskiego dostrzegane i cenione są w różnych miejscach kraju, tylko nie w Gnieźnie, a ranga tych osiągnięć nijak nie da się przełożyć na lokalny, gnieźnieński sukces, bo lokalne „wyrocznie” od kultury i sztuki uważają, że jeżeli ktoś wszedł w wiek emerytalny, to bez względu na to, co i jak robi, co i gdzie osiągnął – nadaje się tylko do zaorania.

(26 grudnia) **360**



# 361 (27 grudnia, wtorek)

**Chciałoby się wspomnieć o wielu, których znałem, i napisać o tym, co mnie wiodło ku literaturze.** Przez te wszystkie lata 80. i 90., kiedy byłem w pełni sił, kiedy się uczyłem i rozwijałem, kiedy poszerzałem swoje horyzonty, kiedy otwierały się przede mną możliwości, jakich nigdy nie dałoby mi Kępno, gdybym został w nim do dzisiaj – tak więc przez te ostatnie 20 lat XX wieku poznawałem Gniezno (ludzi, miejsca, sytuacje, zdarzenia) na wiele różnych sposobów – od zakładów pracy i fabryk, które już nie istnieją, przez hotel robotniczy „Polanii”, gdzie przez pół roku wynajmowałem pokój, a który dzisiaj jest normalnym blokiem mieszkalnym, po słynną adeptarnię gnieźnieńskiego Teatru (parter kamienicy przy ul. Lecha), gdzie znajdowali tymczasowe lokum wędrujący po Polsce głównie młodzi, początkujący aktorzy (adeptci) oraz młode, śliczne i żądne sławy początkujące aktorki (adeptki). A przecież takich miejsc (z ludźmi i zdarzeniami) mógłbym wymienić więcej. Ale jeśli napiszę o filatelistach, poczują się pominięci działkowcy, jeśli napiszę o filatelistach i działkowcach, obrażą się hodowcy gołębi pocztowych, że o nich nie wspominam, jeżeli napiszę o filatelistach, działkowcach i hodowcach gołębi pocztowych, smutek ogarnie psychologów i psychiatrów (a zwłaszcza psycholożki) ze szpitala przy ul. Poznańskiej, z którymi łączy mnie wiele prywatnych wspomnień, a i jeden epizod zawodowy. Na tej coraz dłuższej liście ludzi, spraw i zdarzeń, dla których nie znajdę już miejsca w swych zapiskach, są przecież koledzy i koleżanki z II LO, a zwłaszcza z klasy IV D, w której dotarłem do matury, są na tej liście koledzy, z którymi biegałem na treningach i obozach kondycyjnych, są na tej liście pielęgniarki i bibliotekarki, są dziewczyny i kobiety, dzięki którym zgłębiałem (ciągle się ucząc miłości) mroczną słodycz kobiecego ciała, są kumple, z którymi chodziło się nad jezioro z piersiówką jarzębiaku lub flaszką czerwonego wina, są znajomi, którzy w latach 80. wyemigrowali do Hiszpanii, do Grecji, do Szwecji, do Berlina Zachodniego, a potem dalej, do USA i Kanady, są wreszcie kuzyni i kuzynki, z którymi łączy mnie nazwisko oraz wspólny dla nas wszystkich pradziadek Szymoniak, który był utalentowanym kowalem-artystą w majątku Kołaczkowo pod Wrześnią. A przecież trzeba by też wspomnieć o tych wszystkich, bliskich memu sercu osobach (kobietach i mężczyznach), po których zostały ciepłe wspomnienia i zimne płyty nagrobków. *Nothing more.*



(28 grudnia) **362**



## 363 (29 grudnia, czwartek)

**Jak zachwycać się skutecznie i... nie zwariować?** Oczywiście nie mam pojęcia. Nie wiem też, jak zdefiniować stan ukrywający się pod słowem ‘szczęście’. Wiem tylko to, co w związku ze ‘szczęściem’ i ‘miłością’ spotkało mnie w Gnieźnie przez minione 53 lata. Dla ścisłości dodam, że pisząc te słowa mam 69 lat, 6 miesięcy, 4 tygodnie i 3 dni życia za sobą. Nie jestem jeszcze pacjentem oddziału geriatrycznego, ale nie jestem już także materiałem na kochanka, męża i ojca. Nie ukrywam, że w związku z tym dla młodszych kobiet – które ciągle mają nadzieję na spotkanie „prawdziwego faceta” i „soczystą miłość do grobowej deski” – jestem raczej przezrzysty, jak mgła, zwłaszcza, że nie posiadam – prócz studni uczuć – stosownych dóbr materialnych, nieodzownych we wspólnocie zwanej małżeństwem. Doskonale to rozumiem i nie zgłaszam pretensji, bo wiem, że dojrzała, mądra kobieta (pomijając, co zrozumiałe, idealistyczne amory pensjonarek) zawsze wybiera szeroko rozumianą jakość z wizją stabilnej przyszłości, gdy mężczyzna, nawet w moim wieku, ale zwłaszcza młody, często stawia na złudną ilość i radość teraźniejszości. Cóż więc pozostaje? Zachwyt, olśnienie i... zero złudzeń. Bo oto właśnie zachwyca mnie spotkana na przystanku autobusowym młoda mama z siedmioletnią córką, w których (jak 40 lat temu) dostrzegam podobieństwo do swojej żony i naszego dziecka. Oto nagle staję jak zamurowany przed 35-letnią, wysoką kobietą o urodzie modelki. I wiem, że ta zjawiskowa *Lady* mogłaby mnie namówić (w sprzyjających okolicznościach przyrody) do porzucenia dotychczasowego losu i rozpoczęcia wszystkiego raz jeszcze, w ramach idei (parafrazuję cytaty z piosenki zespołu LAO CHE pt. „Hydropiekłównostąpienie”): *Płyń, a utop to, kim byłeś. Płyń i żyj, jak nawet nie śniłeś!* Na dodatek wczoraj, w „Biedronce” przy ulicy Witkowskiej, spotykam o 7 rano przy kartonach z bananami rezolutną, trzydziestokilkuletnią blondynkę. I oto wywiązuje się zwyczajna rozmowa. Po dwóch minutach tej rozmowy o porannych dylematach osób pędzących do pracy, albo o kolejnym samotnym poranku emeryta i singielki, ona mówi: „Niech pan nie traci nadziei. Bywam tu o tej porze ze dwa, trzy razy w tygodniu...”. Potem oczywiście idzie do kasy i znika. Na zawsze. A ja? Z metafizyczną dziurą w sercu i wspomnieniem światła jej oczu mogę tylko stwierdzić: *too late, zu spät, слишком поздно...* I dalej, znowu za LAO CHE, dodaję zdroworozsądkowo: *Chłopaku, mandżur pakuj!*

(30 grudnia) **364**



# 365 (31 grudnia, sobota)

**Jest komu przekazać pałeczkę w sztafecie pokoleń.** W roku 1969, kiedy zaczynałem swoją całozyciową przygodę z Gnieznem, najpierw miastem mojego ojca, a teraz także moim i mojej córki, nie wiedziałem, jak potoczy się mój los na drogach i bezdrożach Europy. Teraz to wiem, bo wszystko, co najważniejsze, mam już za sobą. Brałem z życia i od świata tyle tylko, na ile mogłem sobie pozwolić, w miarę skromnych zazwyczaj możliwości finansowych. Pracowałem solidnie i wytrwale, robiąc zazwyczaj głównie to, na czym się znałem i co było moją specjalnością. Omijały mnie choroby, gdyż odziedziczyłem po rodzicach dobre geny, ale też przez całe życie, od wczesnej młodości, uprawiałem pod różnymi postaciami ruch fizyczny na świeżym powietrzu, zwany sportem. Gdy było trzeba, pracowałem ciężko fizycznie, a narzędzia pracy nigdy nie wypadały mi z rąk, dlatego do dzisiaj radzę sobie z murarką, stolarką, pracami malarskimi, drobnymi remontami na dachu mojej chatki; mało tego – potrafię wkręcić żarówkę, wbić gwóźdź, naprawić cieknący kran, przyszyć guzik, wyhodować kwiaty w ogrodzie, ugotować rosół, a także przygotować wigilijny groch z kapustą. Wynika z tego – mam nadzieję – że jestem normalnym facetem, który (uwaga!) niemal od zawsze (czasem lepiej, czasem gorzej) współpracował z maszyną do pisania (poezja, proza, reportaż, a potem także teksty o literaturze i fotografii) oraz z aparatem fotograficznym, kiedy jeszcze nie istniały wielofunkcyjne smartfony i telefony zwane „komórkami”. Rozpocząłem tę przygodę w Kępnie, w siódmej i ósmej klasie SP, potem kontynuowałem ją w Gnieźnie, by uczynić z niej na długie lata zawodową i prywatną *spécialité de la maison*. Dzisiaj, powoli zwijając ten interes (by przejść na z góry upatrzone pozycje), rozglądam się po Gnieźnie za pięknymi, młodymi i zdolnymi w nadziei, że to oni poniosą dalej pałeczkę sztuki, muzyki i literatury w nieprzerwanej sztafecie pokoleń. W najbliższym swoim otoczeniu znajduję dwie takie, utalentowane, solidne i pracowite osoby: Aleksandrę Dudczak – znaną jako Alex Freiheit z duetu *Siksa* (m.in. „palemosty nielegal”), oraz Pawła J. Bąkowskiego – autora m.in. „Poematu gnieźnieńskiego”. Te prezentacje Pawła J. Bąkowskiego i A. Dudczak – to współczesne opowieści o mieście, także moim mieście, które zniewala, oburza, zachwyca, prowokuje do pytań. Daje poczucie, że w Gnieźnie jest kilkoro poetów oraz ciągle coś do napisania, sfotografowania, zaśpiewania, sfilmowania.

# Bonus



Gniezno – 28 XII 2013. Doroczne, świąteczne spotkanie gnieźnieńskich fotografów – tym razem po promocji książki W. Nielipińskiego „Fotografia gnieźnieńska w II połowie XX wieku” – a wśród nich zaproszeni goście z Poznania i Wrześni. Pełna lista osób z tego zdjęcia na następnej stronie. Fot. Z. Zieliński

Od lewej:

pierwszy rząd – K. Szymoniak, D. Jeśmontowicz, M. i M. Szymanowiczowie, R. Nowak, P. Degórski;

drugi rząd – W. Nielipiński, R. Sobota, M. Frankowski, J. Andrzejewski, E. Górniak, J. Potęga, W. Zasada, H. Maćkowiak, L. Frankowski;

trzeci i czwarty rząd – W. Stube, P. Tomaszewski, R. Wichniewicz, T. Panowicz, P. Kostusiak, J. Nowacki, J. Śledzikowski, Z. Stoltman, A. Nowik, S. Kościelski, Z. Siwiński, R. Górczak, J. Kałwak

**Dlaczego ten bonus?** Na fotografii z poprzedniej strony widoczne jest gnieźnieńskie środowisko ludzi fotografii, wspierane przez nieprzeciętne postaci życia okołofotograficznego z Poznania i Wrześni, środowisko sprzed dziesięciu lat, w którym z pewnym powodzeniem odnalazłem się ze swoją – skrywaną wcześniej – miłością do fotografii jako takiej i jako dziedziny sztuk wizualnych. Dzięki postaciom z tego zdjęcia, dzięki ich otwartości na współpracę oraz gotowości na koleżeństwo i przyjaźń, mogłem poszerzyć zakres swojej aktywności – poza dziennikarstwo i literaturę – o praktyczne uprawianie fotografii, o uczestnictwo w konkursach, festiwalach, warsztatach, plenerach, wystawach, panelach dyskusyjnych, sesjach naukowych, a także o teksty oraz książki poświęcone problemom fotografii, których od tamtej pory powstało pod moim piórem całkiem sporo. Dzisiaj nie jestem już początkującym, dobrze się zapowiadającym fotoamatorem, dzisiaj – dzięki wejściu w środowisko ludzi fotografujących, dzięki edukacji i własnej pracy – jestem jednym z autorów poważnego czasopisma „Kwartalnik Fotografia”, moje zdjęcia znalazły się na okładkach (i we wnętrzu) kilkunastu książek literackich, mam kolegów, od których 15 i 10 lat temu uczyłem się nie tylko rzemiosła fotograficznego, ale i twórczego myślenia o fotografii. Także ta książka, której ostatnią stronę – Drogi Czytelniku – masz przed oczami, w całości została zilustrowana zdjęciami Gniezna mojego autorstwa. To one stały się pretekstem do spisywania opowieści, która właśnie się kończy. W przypadku tej książki na początku był obraz fotograficzny, który po latach znalazł dopełnienie w zapiskach i wspomnieniach, refleksjach i diagnozach, w tym, co nazwałem archeologią pamięci, a co – jak się okazuje – jest próbą (mam nadzieję, że nie najgorszą) mojej gnieźnieńskiej autobiografii.